

SARA BARNEA

ur. 1930; Tomaszów Lubelski



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, Tomaszów Lubelski; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	projekt W poszukiwaniu Lubliniaków. Izrael (2006), Lublin, Tomaszów Lubelski, dwudziestolecie międzywojenne, rodzina, dzieciństwo, dziadkowie, religia żydowska, życie codzienne, szabat, potrawy żydowskie, koszerność, jedzenie, Pesach, chamec, Efraim Frydman, Chanuka, synagoga, czulent, zapachy, chała

Święta żydowskie

Na przykład tradycyjne Pesach. Były takie różne szykowania się do tego święta: trzeba było się pozbyć wszystkiego, co było chamec [inaczej: zakwas, chamecem określane są produkty zrobione z jednego z pięciu zbóż: żyta, pszenicy, orkisz, owsa i jęczmienia lub zawierające choćby śladowe ich ilości. Uważa się, że wystarczy 18 minut od kontaktu tych zbóż z wodą, by nastąpił proces fermentacji. Po tym czasie produkt staje się zakwasem. W czasie święta Pesach zakazane jest spożywanie chamecu oraz posiadanie go - red.] To było codzienne jedzenie, które trzeba było wyrzucić albo oddać, albo przychodził Polak i wykupywał to na 7 dni świąt. To było tak przyjęte. I był taki rytuał, że mój dziadek Efraim miał odszukać wszystko, co było codziennego użytku, i żeby to się udało, moja babcia kładła mu małe kawałki chleba po drodze i to on odnajdywał. Wypełnianie tego zadania miało takie znaczenie, że z jednej strony to znalazł, a z drugiej utrzymywał nakaz zbierania chleba albo czyszczenia domu na Pesach. To pamiętam.

Pamiętam, na Chanuka robiło się placki kartoflane, pamiętam zapachy.

Szabas obchodziło się jak w większości domów żydowskich, to znaczy kończyło się pracować, kładło się biały obrus na stół, stawiało lichtarze, zapalało się świece. Podawało się tą rybę, która nigdy nie przestawała istnieć. Tylko bogaci mogli sobie pozwolić na karpia, a biedni musieli dodawać jakąś tańszą rybę, na przykład szczupaka, albo płoć, nie pamiętam. Kupowało się karpia i dodawało się do niego inną, tańszą rybę. Nie gotowało się w soboty, odgrzewało się jedzenie, mama nie gotowała w soboty, nigdy. Siadało się razem do stołu. I w piątek i w sobotę. Ojciec przychodził z synagogi to zawsze było to samo - podawanie jedzenia, siedzenie

razem. To był dzień religijny, był bardzo przestrzegany. W piątek moja babcia zawsze robiła czulent i ten czulent odnosiło się do piekarni, do piekarza i w sobotę wyjmowało się z pieca. Wszyscy tam zanosili. Ona zawsze była bardzo przejęta tym, że my nie poznamy jej garnka, dlatego zawsze robiła jakiś znak, albo wiązała sznurek, albo coś czerwonego, żebyśmy mogli odgadnąć, który jest jej.

Pamiętam, że oczekiwaliśmy w sobotę dziadka, który szedł od tej strony, gdzie mieszkał pradziadek, bo tam była bożnica. I jak myśmy widzieli na początku ulicy, że dziadek już idzie, to najmłodsza córka mojej babci, siostra najmłodsza mojej mamy, biegła z nami do piekarni, żeby wyjąć ten czulent i zanieść do domu. I jak to się odkrywało! Jakie zapachy! Pamiętam zapach tego czulentu. A dziadek przychodził, modlił się, robił religijny rytuał żydowski wkoło stołu. My wszyscy byliśmy cicho jak myszy, zanim on nie wypowiedział słowa. Potem siadaliśmy do stołu, podawało się jedzenie i wszyscy otrzymywaliśmy od dziadka kawałeczek chały z solą i dopiero po tym jak się zjadło, to mogło się zacząć mówić - jak tylko dziadek zaczął mówić. To pamiętam dobrze.

Data i miejsce nagrania	2006-11-27, Ramat Hasharon
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Bogumił Lutyński, Beata Sobytkowska, Magdalena Grzebalska, Tomasz Czajkowski
Redakcja	Dominika Majuk
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"